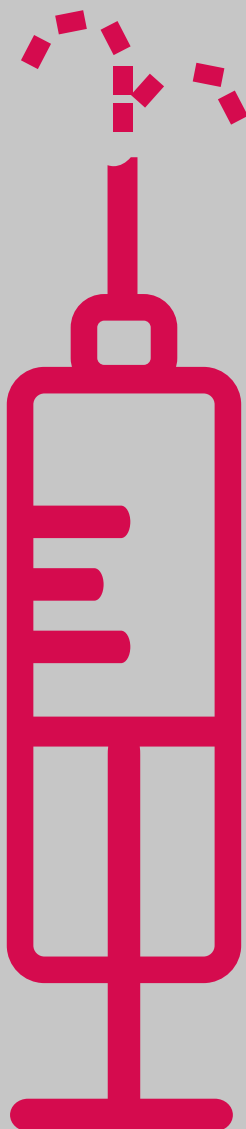


ALHIERD BACHAREWICZ
MAŁY LEKSYKON MEDYCZNY
WG BACHAREWICZA



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Alhierd Bacharewicz

Mały leksykon
medyczny
według Bacharewicza

Alhierd Bacharewicz

Przełożyła Mirosława Łuksza

Mały leksykon
medyczny
według Bacharewicza



WARSZTATY KULTURY

Lublin 2017

Wszyscy wyzdrowiejemy

M-m-me... – tak niedorozwinięta krtań małpy, jak pisał niemiecki prymatolog F. Engels, powoli, lecz stale, przetwarzała się dzięki modulacji (dialektyka przyrody!), aby artykułować dźwięki:

Bach! Arriva! Che!

Rozwierają się wargi jak do wybuchu organów, wybuchu, który wypełnia gotyckie sklepienie podniebienia, przelatuje górnym rejestrem i tonie w wilgotnych pęcherzykach, aby zapisać i mlasnąć jak przydużany zwierzaczek: śmierć.

Alhierd Bacharewicz wie, gdzie w ciele mieszka dusza.

Z wiedzą, którą posiadał, mógłby pracować jako prorok – lecz nie lubi, gdy biją kamieniami, jako dyrektor więzienia – ale rozbiegliby się wszyscy jego podopieczni, jako stróż na cmentarzu – ale któż go powoła na tę funkcję.

Zajmuje się więc liczeniem, ile demonów zmieści się na czubku piksela: litera – piórko, linijka – skrzydło, esej – jednostka śmiertelności: eutanazja.

Nie interesuje go dwuwymiarowy realizm zdrowia. Medycyna jest dla niego uczuciem, choroba – zderzeniem organizmu z ciałem, ciało – historią tekstu.

Markiz de Garod¹, doktor nauk medycznych, przepisywał pacjentom podglądactwo zamiast tradycyjnego egzorcyzmu („Czytanie i pisanie książki na stronie svaboda.org jako terapia szokowa”, Bacharevič Studies, 22.01.2010 18:03–08.10.2010 21:16). Przeżyło wielu.

Indeks nazwisk tej encyklopedii sam jest encyklopedią.

Niekompletną, ale wystarczającą. Happy end jest już napisany.

Aleksander Łukaszuk, Radio Svaboda

¹ Markiz Ogród – przewrotne nawiązanie do Markiza de Sade.

Alkoholizm

Pociąg Moskwa–Berlin jeszcze nie ruszył z miejsca, nie mogąc zrzucić z siebie mocnej jak uściski pytona grawitacji stacji Mińsk Pasażerski – a oni są już pijani. Zajmują dwa lub trzy przedziały w doczepionym wagonie, alkohol pozostawia na ich twarzach szorstkie, wyraźne ślady: fioletowe plamy na grubych karkach, smugi pod oczami, czerwone nosy świecą w półmroku korytarza – bojowe kolory wojowników jadących na obczyznę, aby ratować samochodowy złom rozpuszczonych burgerów-bisurmanów. Ich głosy stają się coraz głośniejsze i kiedy pociąg wreszcie wyrwa się z miasta i pędzi na zachód, zagłuszając odgłos kół: „bar-bar-bar” – słyszy się w wagonie, „bar-bar-bar”, a i czego tam nie ma w tej prostej mowie: tu są wszystkie bary z przeszłości i przyszłości, gdzie świętują swoje geszefty, tu są też tanie burdele odwiedzane przez nich pospiesznie przed powrotem do ojczyzny, tu są ich porzucone w domu baby, tu jest smrodliwy powiew ich prawie frontowego bractwa, wypełniający cały wagon, tu są Baranowicze, które właśnie minęliśmy, i drobniaki, którym są wypchane kieszenie, i my, barany-pasażerowie, milkliwi i udający, że wszystko jest w porządku. Wczesna wiosna, sezon wypraw krzyżowych za Odrę, wczesnie zapada zmrok, przedziały są zamknięte, na poduszki naciąga się poszewki, a oni wciąż leżą po wagonie, wałają do drzwi i groźnie pytają: „Kogo kochasz?”. – „Kocham Białoruś!” – odpowiadają im zza drzwi drżące, przestraszone głosy, kocham Białoruś, kocham. Więc uważaj, odpowiadają im, uważaj i kochaj, a gdy przestaniesz, przypomnimy ci, co to Białoruś jest: to pijany szlafwagen, pędzący przez mrok i spadający w dół stoku, to nasz pociąg, on idzie na front, a ty, durniu, dezserterze, wyobraziłeś sobie, że naprawdę możesz nim uciec? Na polskiej granicy niektórzy z nich nie będą w stanie wyjąć z torby swojego paszportu, a inni, jadący pierwszy raz, będą wymiotować przy drzwiach. Po korytarzu przebiegnie Polak, z obrzydzeniem powtarzając tak, aby słyszano we wszystkich przedziałach: „Wagon pijaków! Pijacki wagon!”. Nikt mu nie zaprzeczy. „Co z nimi zrobić?” – z pogardą zapyta opiekunkę wagonu na pożegnanie, a ona tylko poprawi

przekreconą spódnicę i uśmiechnie się rozmazanymi ustami. Z pociągu wysadzą wszystkich Romów, Czeczenów, Wietnamczyków i Mongołów, zostaniemy tylko my i oni: jednej krwi, z taką samą okładką paszportu, cywilni i żołnierze, ci, co zamykają przedziały i ci, którzy do nich walą. Z jednym z frontowców spotkamy się koło ubikacji: korytarz dla nas dwóch jest zbyt wąski, będziemy patrzeć sobie w oczy, dopóki on nie wciągnie swojego majestatycznego brzucha i mnie nie przepuści. Dopóki nasz szlafwagen nie oderwie się od ziemi i noc nas nie pochłonie – co będziesz robić z nami nasza niebiańska opiekunko, kogo będziesz prosić o wstawienie za nami, czy mogłabyś o nas nie zapomnieć, gdy mroźnym rankiem wreszcie wyjdziemy w niemieckim miasteczku na granicy?

Aleksander Genis wspomina w jednym ze swych esejów interesujący zwyczaj, który był powszechny wśród dawnych plemion germańskich. Najważniejsze decyzje podejmowano tam w ten sam sposób: na początku omawiano wszystko na trzeźwo, a następnego dnia – w stanie upojenia alkoholowego. Jeśli wynik był taki sam, decyzja była zatwierdzana. Całkiem mądre podejście: w tych pogańskich czasach ludzie rozumieli, że tak zwana obiektywna rzeczywistość jest tylko jedną z wielu rzeczywistości, a prawa, ustalone dla jednej, nie muszą działać w innej.

Na przykład zachowania napompowanego alkoholem lub narkotykami wroga są trudne do przewidzenia, jeśli patrzysz nań trzeźwymi oczami – wróg będzie kierować się inną logiką, jest opanowany przez inne demony, dlatego jest niezwykły. Próba znalezienia się na jego miejscu może pozbawić go mocy. Oślepić się, ogłuszyć, odebrać sobie racjonalny umysł – jest to czasami bardzo korzystne – jak wiadomo, w takich chwilach człowiek ma wyostrzone zmysły i może osiągnąć coś, co w stanie trzeźwości byłoby dla niego nieosiągalne... Jak genialny szachista, pijany jest w stanie znaleźć rozwiązanie problemu tam, gdzie przeciętny gracz nie widzi nic oprócz statycznych figurek. Pijany ma inny poziom możliwości, inny próg odczuwania bólu, inne wyobrażenie tabu, osłabiony instynkt przetrwania... Pijany trzeźwemu nie jest towarzyszem – chyba że obaj są komunistami.

Alkohol w dużych dawkach daje człowiekowi możliwość gry z rzeczywistościami, jak projektantowi, który gra kolorami i czcionkami. Dobroć i spokój zmieniają się w agresję i smutek, szczęście – w czarną rozpacz, wszystkie te miłe twarze, które chętnie byś wycalował, mogą błyskawicznie przekształcić się w bezwzględne zwierzęce pyski. Ludzkość, którą tak kochasz po piątym kieliszku, po dziesiątym goni cię z siekierą po ulicach, umykających ci spod stóp.

Aby poznać prawdziwą istotę człowieka, trzeba się z nim napić, bo człowiek trzeźwy – to tylko jedna strona jego osobowości. Ile nowego o podejściu do samych siebie, do swoich przyjaciół i znajomych dowiadujemy się podczas biesiad, ile kłamstw i hipokryzji wykryto dzięki alkoholowi! Człowiek zawsze żałuje, że wczoraj wypił za dużo, nie tylko dlatego, że się źle czuje – on podświadomie żałuje, że wypadł z bezpiecznego i fałszywego świata bezalkoholowych konwencji, gdzie nikomu nie mówi się prawdy.

Każda rozmowa na temat alkoholu i alkoholizmu nieuchronnie opiera się na pojęciu miary – i tu się zatrzymuje, bo każdy jest inny i nie ma takich samych norm dla wszystkich. „Znaj swój limit!” – mówi plakat w metrze w Hamburgu, reklama socjalna skierowana do młodych obywateli. Nie zniechęca ich do picia alkoholu, ponieważ to nie ma sensu, tylko wzywa do rozsądku i nieprzekraczania granicy, poza którą kończy się niewinne pijaństwo, a zaczyna uzależnienie od alkoholu. Ci, którzy używają alkoholu, są szanowani, ci, którzy nie mogą bez niego żyć, są w pogardzie; granica między pierwszymi a drugimi jest granicą przyzwoitości.

Alkoholizm ma wiele imion, a każde z nich to pseudonim. Alkoholizm to słabość: bycie alkoholikiem to pozostawanie w jednej, przypadkowo znalezionej rzeczywistości, utrata zdolności do powrotu do innej. Plemię alkoholików to świadomi autsajderzy, którzy wszystkie decyzje podejmują w tym samym stanie, dlatego przegrają. Alkoholizm to śmierć: rośnie w tobie jak niewinny kwiatusek, a gdy urośnie, zaczyna cię żywcem zjadać.

Alkoholizm wymaga całkowitego podporządkowania, jest jak te istoty z fantastycznej powieści Francisa Carsaca *Ucieczka Ziemi*, które wmówiły ludziom, że rzekomo pracują dla nich jako słudzy, tragarze i sprzątacze, a przejęły władzę i potajemnie żywiły się ludzkim mięsem. Steven King, alkoholik ze stażem, opisuje w autobiografii, jak w dniach twórczego dojrzewania alkohol dzień za dniem rujnował jego tożsamość, nieomal pozbawiając całą klasę średnią planety lekkiej letniej lektury; pisarz stał się alkoholikiem prawie niezauważalnie dla siebie samego. Alkoholizm to koniec twórczości, ponieważ niemożliwe jest nieustanne proszenie o natchnienie głosem pijanego Szuryka: „Wolniej, ja zapisuję...”.

Alkoholizm to Białoruś. Nie pić nie można, choćby dlatego, aby nie zwariować. Jeśli będziesz odmawiać, rodacy zrobią wszystko, abyś wziął szkło – ostatecznie podniosą z grobów twoich przodków i doprowadzą ich do stołu pod eskortą: pij, psie, nie obrażaj dziadów! Alkoholizm to sport. Uparto treningi w młodości, wymagające czasu i zdrowia więcej niż jakakolwiek ludzka działalność. Celem jest „nasylenie się

spiryтусem” – nauczenie swojego organizmu absorbowania alkoholu w dużych ilościach.

Tygodniowe mistrzostwa „kto kogo przepije”, nagrody, tabele turniejowe, sprawozdania... Alkoholizm to inicjacja, aby być dorosłym – przede wszystkim trzeba mieć prawo do nabywania i używania alkoholu. Alkoholizm to flora i fauna twojego rodzinnego miasta, bo właśnie tam, pod oknem, rosną sine humanoidalne stworzenia, dwunogie, zasuszone, kolczaste, czepne, wiatr z bliskiego pustkowia codziennie przybija je do twojej klatki schodowej. Gdzie, z kim i z czego, tylko kto nie pił... Pewnego razu nawet w nocy w zakładzie fryzjerskim. Alkohol ma coś wspólnego z fryzurą: jednemu pasuje, drugiemu – nie, ale wszyscy płacą zań pieniądze, każdy widzi się w jego lusterku.

Alkoholizm jest nieodwracalny: jak nie ma byłych kagebistów, nie ma też byłych alkoholików. Alkoholizm to sława, image, reputacja. „Ale powiedz mi, czy to prawda, że w twoim kraju wódkę piją jak my – piwo?” – pyta, unosząc białawe brwi, Björn, a ty mówisz, bardzo zawstydzony, z drgającym w tobie niespodziewanym i głupim zaszczytem:

„No tak, można tak rzec, to prawda...”. Skąd on jest, ten nedorzeczny zaszczyt, co przyjechał jak kontrabanda w wagonie doczepionym do pociągu Moskwa–Berlin? Białawe brwi opadają, pod nimi – niezrozumienie, podziw, szacunek, wstręt i strach. Alkoholizm to jest to, co podzieliło Europę, mur, którego nikt nie może rozwalić. Alkoholizm to Rosja; ci, którzy są w stanie *wypić ot tak sobie*, dla Björna na zawsze pozostaną Rosjanami, choć żyją w trzech niezależnych od Rosji państwach i mogą mówić w dowolnym języku. Och, te nazwy tutejszych wódek: „Puszkina”, „Jelcyna”, „Gorbaczowa”, „Arapowa”, „Kaliskaya”, „Rodina”, „Taranowa”, „Samodurowa”, te krzyki z rosyjskiej łaźni, brat-łata wali ci pravdu-mat’!... Alkohol to paliwo, które trzyma nas jeszcze na nogach, podczas gdy my wiek za wiekiem nie potrafimy określić naszej Najważniejszej Decyzji.

Antykoncepcja

Czasami korzystnie i ciekawie jest poczytać tabloidy. „Bild”, na przykład, albo „Komsomolską Prawdę w Białorusi”:

Szkolny intendent zabił woźnego szafą

Lady Gaga robi sobie majtki z listów swoich fanów

Grzyby przejęły władzę nad mrówkami już 48 milionów lat temu

Tego rodzaju historie, ukrywające się pod nagłówkami, nie tylko wzbudzają brudne fantazje, ale często też wywołują poważne i nie byle jakie myśli. Życie w żółtym świetle jest wesołe i dynamiczne, jak na Dzikim Zachodzie, nie ma żadnej monotonii, żadnej szarości, jest tylko jaskrawa żółć, każdy ma szansę stać się bohaterem, jeśli nie głównym, to może znaleźć się na drugim planie – jako świadek, jako babuleńka na ławeczce przy klatce schodowej. Nudne jest tu zakazane, każdy musi mieć swoją fiszkę, chociażby pośmiertną.

Na przykład jeśli tu mają dzieci, to z tymi dziećmi nic dobrego się nie dzieje: albo się je zabijają, albo je gwałci, albo daje się im na imię Adolf Hitler, albo ich tata obchodzi setne urodziny; w najlepszym razie spadają z dziewiątego piętra, a ich matka kiedyś grała w pornosach. Śmierć, śmiech i śmieci tutaj zawsze idą w parze, jak patrol policji, i dbają o to, aby do żółtego świata nie przeniknął żaden banał.

Osobiście lubię historię pewnego emerytowanego majora, który całe swoje życie miał tajemnicze powołanie do stomatologii. Po przejściu na emeryturę postanowił wreszcie zrealizować swoje marzenia. Uzbrojony w używaną bormaszynę, klej „Moment”, kupione na rynku kleszcze, drut i plastelinę dla dzieci, podjął się leczenia zębów sąsiadów. Praktyka domowa nie trwała długo – dopóki jeden z pacjentów nie pozwał go do sądu...

Strach pomyśleć, co uczyniłby major, jeśliby poczuł powołanie do chirurgii albo zajął się ginekologią czy urologią, lub wpadł na pomysł udzielania porad na temat antykoncepcji. Z drugiej strony – zażółcenie tej historii jest bezsporne.

Ów major-lekarz miał wcześniej do swojej dyspozycji, oprócz nieskomplikowanych urządzeń „dentystycznych”, trzy rzeczy, bez których medycyna nie stałaby się medycyną: brak wiedzy, pasję i wiarę. Od tego wszystko się zaczęło, właśnie one i tylko one były w rękach człowieka, kiedy zaczynał leczyć sobie podobnych i poważnie zadumał się nad tym, jak zapobiec ich płodności i rozmnażaniu się.

Ludzie rodzą się nie tylko żywi, rodzą się przede wszystkim ocaleni. Aby człowiek pojawił się na świecie, początkowo musi uniknąć antykoncepcji. Ludzkość składa się z ocalonych, tych, którzy przeżyli, ludzie to są ci, których nie zabiła antykoncepcja. A ocaleni są zawsze ciekawi urządzeń i przyzwyczajęń śmierci, która ich ominęła. Uwielbiają wracać tam, gdzie byli na jej skraju.

Śmierć i seks – to wszystko nawet w nadmiarze oferuje nam prasa bulwarowa. Lub – z nie mniejszym sukcesem – krótka historia środków antykoncepcyjnych, baśń o tym, jak walczyliśmy przeciwko ignorancji, wiarą i pasją.

Warto jest, jak widać, nie koncentrować się na niesłusznie obrażonym biblijnym Onanie (który kochając się z kobietami, wylewał nasienie na ziemię – i pozostał w historii jako jakiś Pionier Masturbacji) i przejść od razu do starożytnych Chin, gdzie kobiety, aby uniknąć zapłodnienia, połykały kawałeczki rozgrzanej w oleju rtęci – i to było całkiem skuteczny środek, ponieważ, jak wiadomo, rtęć jest toksyczna i przez nią w żywych organizmach nie dzieje się nic dobrego. To, zresztą, jak widać, nie przeszkodziło Chińczykom stać się najliczniejszym narodem na świecie. W starożytnym Egipcie główna metoda antykoncepcji nie wyglądała tak radykalnie: przed stosunkiem płciowym kobieta wkładała do pochwy mieszaninę odchodów krokodyla z miodem: decydującą rolę odgrywało tu łajno – ze względu na wysoką kwasowość. W ogóle krokodylą kupę można uznać za pierwszy spermicyd w historii ludzkości – przynajmniej pierwszy, używanie którego jest zanotowane w formie pisemnej.

Soran z Efezu, grecki ginekolog, który praktykował w Rzymie gdzieś w II–III wieku, zalecał kobietom po miłości kaszel, wydmuchiwanie nosa i skkanie w celu uniknięcia ciąży. Inni greccy lekarze zalecali wkładanie do pochwy połówki granatu – ta sama metoda, ale z kawałkiem cytryny, była szeroko stosowana w Europie aż do oświecenia: naturalnie w miejscowościach, gdzie nie brakowało cytryn. W Persji w tym samym celu kobiety używały gąbki nasączonej alkoholem, jodem, karbolem i chininą. Arabscy koczownicy którzy dawno temu odkryli, że kamień włożony do łona wielbłądzicy uchroni ją przed potomstwem, to doświadczenie

wykorzystywali w odniesieniu do kobiet: jako antykoncepcję stosowali wewnątrzmaciczne szklane kulki, perły, heban, kawaleczki żelaza, końskie włosie i inne prototypy przyszłych diafragma-kapturków z lateksu.

Nie wiem, jak jest gdzie indziej, ale w Niemczech ojcem prezerwatywy zwał Włocha Gabrielle Falloppio (słysząc to nawet w jego nazwisku). Sam tytuł brzmi dość głupio, bo dr Condom (lub, według innych źródeł, Contant) wynalazł swój słynny środek antykoncepcyjny sto lat po Falloppio. Dr Falloppio, wynalazca nie tylko prezerwatywy, ale także nazwanych jego imieniem kobiecych jajowodów, wykładał na Uniwersytecie w Padwie – zaledwie kilka lat po tym jak uczył się tam Skaryna. Kto wie, może się znali. Jeden z nich zaczął drukować książki, a drugi wypróbowywał wynalezione przez siebie urządzenie na tysiącu padewczyków – wyniki były zdumiewające. Prezerwatywa Falloppio mierzyła 20 cm długości, była wykonana z lnu i przywiązywano ją różową wstążką – wedle świadectw współczesnych „aby bardziej podobała się kobietom”. Falloppio stanowczo protestował przeciwko temu, aby wynalezione urządzenie nazwano na jego cześć, wystarczyły mu jajowody; najwyraźniej przypomniał sobie historię z Onanem i obawiał się, że potomkowie coś poplączą – może tak było, dlatego w czasach doktora Kondoma nikt już nie pamiętał o Włochu.

Prawdą jest, że prezerwatywa nie była pierwotnie przeznaczona do celów antykoncepcyjnych, a tylko w celu ochrony przed chorobami przenoszonymi drogą płciową. Jej wykorzystanie powoli wychodziło z mody również z powodu niedogodności. Urządzenie Falloppio było nadal stosunkowo humanitarne – wielu musiało korzystać z grubych, szorstkich prezerwatyw z jelit zwierząt, a także produktów z pęcherzy rybnych.

Angielski doktor Kondom w rzeczywistości też nie działał z zamiarem uszczęśliwienia ludzkości – dostał zadanie wymyślenia narzędzia, które będzie chroniło króla przed kiłą. Brał owcze jelito, smarował je olejem – i oto w *A Classical Dictionary of the Vulgar Tongue* (Londyn, 1785) już pojawia się takie hasło: „Kondom – suszone jelito owcze, nakładane przez mężczyzn przed stosunkiem płciowym, aby zapobiec zakażeniu”. W tym samym wieku kiedy doktor Kondom stanął w obronie swego króla, mniej sprytni brytyjscy lekarze zaczęli jako pierwsi w świecie wykonywać wazektomie – bezwzględnie, bezlitośnie, lecz skutecznie.

Środkiem antykoncepcyjnym prezerwatywa została dopiero na początku XX wieku, kiedy to męska część ludzkości w końcu zorientowała się, jak produkować dobrą gumę do swoich samochodów, dla żon, kochanek i prezerwatyw. Paradoksalnie, rozpowszechnienie środków antykoncepcyjnych ciepło przyjęły feministki, które stały się ich pierwszymi ofiarami,

na przykład na początku XX wieku władze Nowego Jorku zamknęły klinikę, zorganizowaną przez feministkę Margaret Sanger, za niemoralność – znaleziono tam prezerwatywy i różną podejrzaną literaturę: instrukcję posługiwania się środkami antykoncepcyjnymi.

Wkrótce po zakończeniu drugiej wojny światowej nadeszła era totalnej antykoncepcji doustnej i barierowej, co nie jest już takie ciekawe... Nikt już nie łykał rtęci i nie przywiązywał zalotnej różowej wstążki do lnianych woreczków. Ludzkość ostatecznie sprywatyzowała seks i Bóg podał się do dymisji, by w końcu zająć się swoim powołaniem – któż to wie, jakim.